

Mniej Więcej (170)



Foto: Zofia Mikuła

Apocalypsis
cum figuris

Już tytułowy wiersz tego tomiku zapowiada, co było wcześniej i będzie dalej. Oto on: *budzik z opóźnionym zapłonem wciąż tyka. nie śpię / czuwam. W pokoju obok ktoś nerwowo szura / łapcami. też nie śpi. kto z nas pierwszy odnajdzie / zapalnik. kto uruchomi kto zgasi? / słyszę kroki / pod drzewami na ulicy. jedni czekają drudzy się kryją / zdeorientowani jeźdźcy apokalipsy zatrzymali na chwilę / rumaki. Podchodzą do nich i karmią je / suchym chlebem trzymanym na wszelki wypadek. może // to właśnie ten moment...*

Leszek Żuliński

Jeszcze nie wiemy, o co chodzi, ale ta aura będzie się panoszyć we wcześniejszych i późniejszych wierszach.

Niby w tych wierszach dzieją się konkretne wydarzenia, ale one są poniekąd somnambuliczne, wyjmowane ze snów. Ale przede wszystkim wsiąkamy w tej lekturze w destrukcję życia, w jakiś spleen rodem z apokalipsy, jakby Kafka lub Bunuel opowiadali swój świat. Głęboko introwertyczny, brany z głębi jakiejś tajemnej studni. Czy jest tu lęk? Raczej zakleszczenie się we własnym pejzażu, który rozwijał się latami.

Podczas lektury zastanawiałem się, jakby te wiersze skomentował psycholog. Ale przecież Zawadowski żyje na co dzień normalnie w realu, więc cała ta sceneria bierze się z głębokiego dna jego obaw. Mniejsza o to, czy wymyślonych, czy jednak przeżywanym – tak czy owak ten cykl jest refleksją potencjalnie ostrzegawczą dla nas wszystkich.

Posłuchajcie jeszcze jednego wiersza pt. *widok na pokój: kiedyś sądziłem że pokój jest jak powietrze. można / nim oddychać i cieszyć się do syta. któregoś dnia / jednak pod drzwiami pojawili się zamaskowani / żołnierze bez mundurów z karabinami załadowanymi / nienawicią. wtedy zrozumiałem co to strach i*

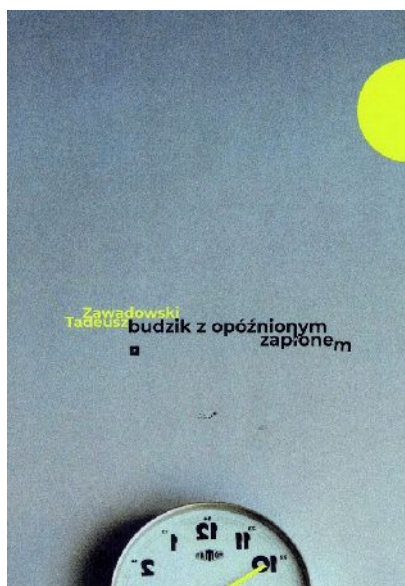
że nic / nie jest darowane na wieczność. w niedalekich miastach / zaczęli ginąć ludzie. wychodzili na ulice młodzi chłopcy / i wyra- stały im siwe brody a z minuty na minutę wypadały / włosy. kobiety chowały dzieci do łóżysk i kurczyły się / na odgłos kroków na schodach. stałem w drzwiach // i patrzyłem jak rozpada się pokój.

I tak pobrzmiwa cały ten tomik. Przejmujący, traumatyczny, w sumie ponury, mielący w interiorze wewnętrznym zewnętrzność świata. Jak to się ma do realu? Ha!, nonsensowne pytanie, bo autor żyje nie tyle realnie konkretnym, co po prostu quasi-psychicznym. A wtedy, jak wiecie, błyskawice na ziemi i niebie biją innymi uderzeniami. Ja byłem podczas lektury zafascynowany tym doznawanym przez Tadeusza pejzażem. I zaniepokojony. Ale to już jego musielibyśmy spytać, czy to wszystko jest jego alter-ego, czy po prostu literacko skomponowana sceneria.

Tak czy owak drugiego takiego zbioru nie znajdziecie. Miejmy nadzieję, że ten mrok się rozpyła, kiedy wstaje słońce. Znalazłem tu jednak także inny wiersz, pocieszający, dedykowany nieznaney nam Ewie, a zatytułowany *czas wyjścia*. Oto on: *bardziej od śmierci boli świadomość / rozłąki z tobą. wprowadzie tylko na chwilę / zwaną wiecznością ale przecież każda minuta / bez ciebie staje się zapowiedzią nieskończoności. / pocieszam się nadzieją że po drugiej stronie skreślono / czas z listy wymiarów. póki co zbieram / każdą kreskę twojego uśmiechu i buduję z nich / labirynty aby oddalić moment // wyjścia.*

No więc wciąż jeszcze zdarzają się Eurydyki, które towarzyszą Orfeuszom. W osobliwej ponurości tych wierszy ten jest poniekąd erotykami i jakimś promieniem w tych mrocznych pejzażach.

Powtarzam: nie znajdziecie drugiej takiej opowieści o mroczności życia, jaką opisał Tadeusz Zawadowski. Nie znajdziecie drugiej takiej dykcji. Ja bez euforii oświadczam, że przeczytałem wiersze, jakich dotąd nie spotkałem. Kłaniam ci się, Tadiusz, do ziemi za ten tomik.

Tadeusz Zawadowski, *Budzik z opóźnionym zapłonem*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 70.Tadeusz
Zawadowski

Widok bez lustra

próbuję zbudować lustro. zbieram małe kawałki kryształu i sklejam śliną – taka
nie trwa
konstrukcja – przecież wszystko się zmienia ulega destrukcji. moja twarz w bruzdach
zmarszczek
rozpada się na zachodzące na siebie twarze
starca
i dziecka. trudno je rozdzielić. przenikają się wzajemnie jak czerń z bielą. patrzę poprzez
pusztą
ramę od lustra na krajobraz
beze mnie. w ogrodzie kwitną bzy.

nie mów mi o jutrze

nie mów mi o jutrze, to taka umowna data wymyślona na potrzeby chwili, wciąż trwa
dzisiaj, jeszcze
ciągle mogę nie oglądać telewizji i liczyć
spadające
z drzew liście, mam czas do zimy czyli kilka
miesięcy.
później mogą odłączyć prąd. elektroencefalografii pokaże prostą
po której należy przebiec na drugą stronę.
a co jeśli jutra nie będzie i pozostanę wielkim
znakiem zapytania
z wiecznie otwartymi z przerażenia ustami?
teraz mów do mnie jeszcze
oczyma dotykiem dłoni muśnięciem włosów
po policzku, słowa tetmajera
mieszają się z kroplami potu na czole, coraz
bliżej
do zimy. liście przykryje biała niepamięć w
której
skryję się razem z moją mrówką, noszę ją w
sercu
jak talizman chroniący mnie przed sobą.
o północy zatrzymał się zegar i nie wiem po
której jestem stronie.

budzik z opóźnionym
zapłonem

budzik z opóźnionym zapłonem wciąż tyka.
nie śpię.
czuwam, w pokoju obok ktoś nerwowo szura łapcami, też nie śpi. kto z nas pierwszy
odnajdzie
zapalnik, kto uruchomi kto zgasi? słyszę kroki pod drzwiami na ulicy, jedni czekają drudzy
się kryją.
zdeorientowani jeźdźcy apokalipsy
zatrzymali na chwilę
rumaki, podchodzą do nich i karmią je
suchym chlebem trzymanym na wszelki
wypadek, może

to właśnie ten moment...